



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Przyjaciele rolnika.

O pszczołach i ich użyteczności, mówiło się już nieraz w „Wieczorach Rodzinnych”. Czytelnicy nasi wiedzą, jak delikatnymi, a misternymi przyrządami obdarzyła je natura, do zbierania miodu z kwiatów i wyrabiania wosku; znają wszystkie ważniejsze tajemnice królestwa pszczoł, jego zadziwiająca urządzenia, karność, porządek, ale nie wiedzą pewnie,

że w małych, niepozornych ulach pszczoł, więcej można znaleźć złota niż w kopalniach tego kruszcza w Kalifornii.

Na niejednej twarzyczce zapewne pojawi się wyraz zdziwienia, przy czytaniu tych wyrazów — a jednak nie jest to wcale bajką, ale prawdą najczystsza. Pszczoły szukając miodu w kielichach kwiatów, potracają mimowolnie przeciki zawierające pyłek nasienny, i przelatując na inne kwiaty, pyłek ten którym skrzydelka ich i nóżki obficie są obsypane, wszędzie roznoszą. Zazwyczaj wiatr spełnia czynności roznosiciela pyłków, ale bywają dni tak pogodne i spokojne, że ani jeden liść nie porusza się na drzewie, pszczoły zaś ciągle uganiające się za miodem, nigdy nie odpoczywają i w okolicach przez siebie zamieszkiwanych, zdwajają rodzajność pól, ogrodów i winnic. W Saksonii dawno już domyślono się tajemnicy, niezwykłej obfitości plonów w niektórych miejscowościach: pourządzano nawet pasieki ruchome z uli pomieszczonych na wózkach kołowych, które pomysłowi Niemcy w porze kwitnienia zboża wprowadzają w sam środek pól.

Nieżyjący już przyrodnik angielski, Darwin, używał bardzo dowcipnego sposobu dla przekonania się czy pszczoły wpływają na urodzajność i o ile. Zasiał przed swoją pasieką rzepak i koniczynę białą; następnie gdy rośliny już kwitnąć miały, przykrywał lekką gazą kilka główek, nie dozwalając tym sposobem pszczołom na nich siadać, ale nie tamując bynajmniej dostępu powietrza i słońca. Gdy ziarna już dojrzywały, brał je z roślin rosnących pod przykryciem i tych, które rosły bez przykrycia i liczył. Rachunek wypadł zawsze na korzyść odwiedzanych przez pszczoły, bo miały pięćdziesiąt do sześćdziesięciu ziarn więcej na sto. W koniczynie pojawiała się jeszcze jedna osobliwość: oto rosnąca

bez osłony, była zawsze większą od osłoniętej. Uczony badacz powtarzał swoje próby przez kilka lat z rzędu, i zawsze te same otrzymywał skutki. Rozwój ten osobliwy, zdaniem jego, roślina zawdzięczała ustawicznemu ssaniu przez pszczoły w koronach kwiatków, gdzie miód odnawia się ciągle. Jeżeli roślina nie jest wyzyskiwana przez pszczoły, skupia się w sobie i zatrzymuje w swym rozwoju, a wyzyskiwana, zmusza miodniki do coraz nowiej wydajności miodu. Jestto zupełnie tak jak z ludźmi: ręka nazwyczajona do pracy, nabiera coraz więcej siły i biegłości; nogi przyuczone do dalekich wycieczek, niełatwo ulegają strudzeniu i coraz dalej chodzić mogą, a umysł uprawiany przez naukę, nabiera siły, giętkości i staje się coraz podatniejszym do przyswajania sobie nowych wiadomości. Jak miód odnawiający się w miodnikach, tak w umyśle rozwija się zdolność i pamięć w miarę uprawy, gdy przeciwnie pokryty osłoną beczynności, leniwieje i traci wszelkie przymioty.

Dla tych co umieją patrzeć na kwiaty, niema wcale kwiatów brzydkich, bo chociaż barwy niektórych nie mają nic pociągającego dla oka, budowa najmniejszego, najniepozorniejszego nawet, pełna jest cudownych, zdumiewających tajemnic. Czytelnicy nasi, gdyby chcieli, mogliby nieraz spróbować miodu prosto z kielicha kwiatów, nie czekając aż im go pracowite pszczołki naznoszą. Dość jest wziąć kielich lilii na przykład i zapuściwszy na samo dno jego długą słówkę, ponieść ją następnie do ust, ażeby skosztować tego nektaru, choć nikt się tak małą ilością nie zadowolni. Leży on tam w postaci przezroczystej gęstej rosy, zlewającej się czasem w jedną całość dokoła podstawy słupka. Można by go i małym palcem dosięgnąć, ale toby uszkodziło płatki korony, a nie godzi się psuć kwiatów bez potrzeby.

We Francyi, długie i cierpliwe badania nad działalnością pszczół, prowadzi p. Eugeniusz Jobard, redaktor dziennika „Dobro publiczne” (Bien public). On i ci, których do czynienia takichże doświadczeń nakłonił, przekonali się że zboża w bliskości pasiek zasiewane, miały zawsze kłosa pełniejsze i cięższe; że w ogrodach gdzie po lat kilkanaście drzewa nie chciały rodzić owoców, pomimo usiłowań ogrodnika, uginały się pod ich ciężarem po wprowadzeniu pszczół. Niepozorne skrzydlate robotnice czary z sobą przyniosły.

Historia królestwa pszczół niejedną jeszcze świetną kartę w księdze swój zapisze, zwłaszcza gdy przekonanie o łatwości z jaką ludzie mogą się przez pszczoły z bogacić, rozpowszechni się bardziej po świecie. W Niemczech, Włoszech, Rosyi, Węgrzech, Austrii, pszczoły coraz więcej zyskują poszanowania; w Polsce hodowla ich niegdyś prowadzoną była szeroko w pasiekach, ogrodach na polach i w barciach leśnych: wielka szkoda, że została następnie zaniedbana! W Wiedniu założono nawet prawdziwą Akademię pszczolniczą, w której wykładają najznakomitsi przyrodowicy, a sam cesarz jest prezydentem. Amerykanie zrobili jeszcze więcej: utworzyli oni aż trzydzieści towarzystw handlowych, posiadających każde pięć do sześciu milionów dolarów kapitału. A wiecie na co są obracane te olbrzymie sumy? Oto na pokrycie pasiekami całych obszarów ziemi: od brzegów oceanu aż do puszcz niedostępnych. Cześć cichym, skrzętnym pracownikom! O nich można powiedzieć, że jak Kolumb odkrył Amerykę, a Waszyngton ją wyswobodził, tak one ją teraz opanowały, niosąc jej pracą swoją dobrobyt. Ze skrzydełek ich jak z rogu obfitości, sypie się pyłek dobroczynny na pola,

łąki, ogrody i winnice, a Bóg dobry za pracowitość nagradza je wdzięcznością tych wszystkich, którym ich praca więcej chleba przysporzy.

Ci z naszych czytelników, którzy mieszkając na wsi mają sposobność zabrać bliższą znajomość z pszczołami, niech się przypatrzą życiu tych owadów i biorą z nich przykład, niech je szanują, opiekują się nimi, a jeżeli przez swoje starania uda im się pomnożyć liczbę tego skrzydlatego narodu, będą mogli sobie powiedzieć, że dali tem dowód przywiązania do własnej ziemi. Bo choć ta ziemia rodzi dużo pięknego chleba, nie tyle jednakże, aby wszyscy mogli być syci.

Na rycinie, którą tu widzicie, przedstawione są pszczoły osiadające na kwiatkach gruszkowych.

Zofia Urbanowska.

PODZIEMIA BARWAŁDZKIEGO ZAMKU.

powieść z dawnych czasów

PRZEZ **Boguchwałę.**

(Dalszy ciąg).

Dziad patrząc z daleka nie wierzył własnym oczom, tymczasem podróżni, odpocząwszy, pojechali z wolna mostem dalej, bezpieczni już zupełnie. Po śmiertelnym strachu jaki przebyli, czuli się jakby odrodzeni i mało brakło, żeby który nie zaśpiewał, gdy wtem wszyscy naraz poczuli most drgający pod stopami, wóz zatrzęsł się i rozległ się zgrzyt jakowyś piekielny.

— Święta Jadwigo ratuj! — krzyknął Żuk rozpaczliwie, a przeciągły trzask tak potężnie rozległ się w ciszy porannej, że baba siedząca w dawno już opuszczonej przez podróżnych chacie na Zbójckim Ostrowiu, usłyszała i wypadła na próg... właśnie w chwili, gdy gromadka podróżna, wraz z wozem i końmi znikła z powierzchni mostu, w czarnej bezdennnej topieli. Dziad na Zbójckim Ostrowiu załamał ręce kiwając głową, osłupiałemi z przerażenia oczyma wpatrzony w pustkę na moście; stał tak aż chichot sowi przerwał ciszę śmiertelną... Dziad wstrząsł się i powlókł do chaty, błądy jak chusta z zaczerwienionemi oczyma. Baba siedziała już w rogu izby na ławie, szepcząc coś do siebie zawzięcie po swojemu: przed nią na desce stół zastępującej, leżały pieniądze dane przez Żuka, jako odwdziwienie niechętnej gościny.

V.

Jak postanowiono szukać czego nie zgubiono.

W sklepie ciasnym i skąpo oświetlonym, o wązkich zamczystych drzwiach żelaznych, jakie zwykle miały ówczesne sklepy, zaopatrzone w bogaty towar, przy Floryańskiej ulicy, tuż obok rynku w Krakowie, siedziała za kantorem młoda i wątła kobieta, wstając często dla obsłużenia kupujących i utyskując przytem srodze nad nieszczęściem niewiast opuszczonych, z dziećmi, i obarczonych ciężarami i kłopotami, obrachowanemi przez Pana Boga na dwoje.

— Jak też ta Żukowa jęczy, to aż przykro słuchać — mówili kupujący po wyjściu ze sklepu. — Prawdziwie nie chciałoby się tu przychodzić, gdyby nie to, że miara, cena i gatunek, wszystko sprawiedliwe jak nigdzie.

— Bo też nieszczęśliwa to kobieta — mówili inni. — Żuk poczciwe człowieczysko z kościami, jak pojechał po towar tak i przepadł, a ona sama rady sobie z dziećmi i sklepem dać nie może, a jeszcze o męża się trapi, i słusznie, bo coś się chyba musiało z nim stać niedobrego.

Coś w ten sens mówiła właśnie do męża żwawa jakaś jejmość, zeskakując z dwóch na raz schodków sklepu

Żukowego, gdy noga jęj się pośliznęła i jejmość byłaby upadła, gdyby nie chwyciła się ramienia jakiegoś przechodnia. Ten aż jęknął i oparł się bezsilnie o ścianę.

— A tobie co człowieku? Chory jesteś? — zapytali razem mąż i żona, poczciwi krakowiaci, przyglądając się wyędniałemu, młodemu chłopcu.

— Panie mężu — dodała jejmość — trzeba go poratować! wziąć z sobą boć do nas blisko!

Pan mąż nie namyślając się, już brał w potężne ramiona chorego, gdy ten wyjąkał:

— Ja tu ztąd... od Żuka...

— Święta Jadwigo! to wychowaniec Żuka, Antek! — zawołała jejmość łamiąc ręce. — Nieś go Żukowój panie mężu! Coś okropnego stało się z Żukiem!

Pan mąż wniósł Antka do sklepu Żukowój.

W pół godziny potem stary sklep Żuków, po raz pierwszy od pradziadów, zamknięty był w dzień powszedni. Mimo to tłumy ludu tłoczyły się koło niego, gawędząc mniej więcej w ten sens:

— Radzą król i panowie rada, ciągle na wiecach radzą, o drogach i mostach, my dajemy podwoły, ręce i pieniądze, a no ludzie zani topią się jak się topili ongi w trzęsawiskach pod samym nieledwie Krakowem, i to ze skarbami!... — O tych skarbach zwłaszcza trzęsło się w mieście i okolicy. Wóz ładowny wschodnimi tkaninami przobraził się w trzy wozy pełne drogich kamieni, i otóż naraz, poszedł głos pomiędzy ludźmi:

— Ej, gdyby też w topieli pod mostem choć skarbów tych poszukać, kiedy ludzie już przepadli? Niechby wdowa i dzieci choć majątek odebrały kiedy ojca straciły. A możeby się tam i co więcej znalazło? Odkąd to w tych topieliskach giną ludzie z całemi majątkami!... ho, ho, ho!... A przecież to tam skarby palą się nawet błademi ogniami i na górze... może ona i od tego Żar się zowie, że się tak żarzy pieniędzmi?

Gdy takie gawędy raz powstały, chwycono się ich gwałtownie. Rzecz się rozniosła. Kilkudziesięciu bogatych mieszczan i panów, poczęło czynić starania u króla o przywilej na poszukiwanie skarbów, zagrzeźnych w barwałdzkich trzęsawiskach. Nie po raz to pierwszy chciwość miała przewyciężyć strach i grozę. Gwar musiał być bardzo głośny, kiedy doszedł niewiadomo nawet jak, aż do dwojga dziadów na Zbójeckim Ostrowiu. Zastłyszawszy coś o tem, dziad błądy stanął przed szepczącą zawsze kobietą:

— Mają tu ludzie królewscy przyjść szukać skarbów, a co będzie jak znajdą? i ja nie upilnuję? Porwie duszę szatan jak swoje. To mówiąc ujął się oburącz za głowę, próbując wyraźnie, czy ją ma jeszcze na karku, nie urwaną przez *złe* za niedopilnowanie skarbów.

— Zkądże to wiesz? — spytała żona.

— Jechał przez most chłop, ten co mi kozuch a tobie garnek w ziemie sprzedał za rybę i co ptaćtwo u mnie kupuje, jechał bokiem, groblą, i przez złożone w kułak ręce krzyczał, że królewscy idą tu Żukowych skarbów szukać... Jak zaczną szukać Żukowych, to znaleźć mogą i jego pieniądze, a wtedy, cóż będzie?

— Mówiłam to idź do księży, wyznaj swą winę, to oni ci dadzą radę jak duszę uratować, a ty djabła gorzej się boisz niż Boga, i ja marnie przy tobie zginę, a nic ci nie pomogę.

— Byle mróz nie chwycił — szeptał dziad w obłędzie, który się u niego coraz zwiększał, nie bacząc na słowa żony jak zwykle — póki roztopielpóty, mego życia, jak przymarznie, najdą ludzie, jak ich tu nigdy tyła na raz nie bywało, rozkopią tu i tam... i.

Obu rękami machał strwożony i chował się do chaty, aby niezadługo wyszedłszy z niej gruntować kijem:

— Czy nie zamarzy?...

Dziad na tym punkcie wiedział czego się lękał. Zima ustalająca trudne do przebycia, lub nieprzebyte bagna, bywała zwykłą porą podróży, oględzin, zwózki drzewa olbrzy-

mięj, i robót około dróg, a owego roku właśnie opóźniała się wyjątkowo, co nawet było główną przyczyną nieszczęścia Żuka. Kupiec nie wybrałby się w podróż, gdyby nie rachował na mrozy ścielące drogi. Ale nakoniec, jak bądź opóźniająca się mrozy, musiały jednak przyjść nareszcie i tego dziad się obawiał.

Wiek ówczesny, był wiekiem wybujałych nadziei górniczych. Do Łokietka ziemia Małopolska głównie słyęnęła z kopalni soli; chociaż znano już i ołowiane kopalnie w Olkusz. Dopiero zięć Łokietka w Węgrzech, urządził wzorowo kopalnie i sprawę menniczą u siebie, a za tym przykładem powstał i w Polsce namiętny ruch górniczy. Kopano rudę srebrną, ołowianą, miedzianą, w Sławkowie, w Chęcinach, w Trzebini, w Jaworzni, w Miedzianej górze. Królowie chętnie pozwalali na poszukiwania górnicze. A gdy w górach małopolskich w okolicach wsi Łącka, jak mówi Szajnocha, wydobyto: „wielkie bryły złota” tedy cała Małopolska sądziła, że ma bezdenne skarby kruszcowe pod stopami. Prace górnicze stały się przedmiotem królewskiej troskliwości. Zajęto się ułożeniem statutów dla żup wielickich i olkuskich. Górnicze prawa polskie, uczczone zagranicą pierwszeństwem przed czeskiemi i angielskiemi, służyły za wzór francuzkim.

W takich okolicznościach, ogólne zwrócenie ludzkiej uwagi na barwałdzką okolicę, gdzie od niepamiętnych czasów „paliły się pieniądze” w kilku miejscach, mogło istotnie zagrażać spokojowi tych czarnych bagnisk, i sterczących wśród nich wysokich ostrowiów, gruzów, i skarbów zaklętych, dotąd niepokojonych tylko nocną ogników gonitwą.

Widział tedy dziad, czemu kilka razy dziennie macał kijem, marznące zwolna topielisko; co dnia trudniej mu było przebijać cienką tworzącą się na niem skorupę, która coraz się grubszą stawała, aż pewnego ranka nie dała wcale się przebić, i dziad wróciwszy do żony siedzącej u ogniska, jęknął:

— Zamarzło! — i usiadł w kącie zrozpaczony.

Kobieta ruszyła wzgardliwie ramionami:

— No — rzekła — kiedy ci nie sporo udać się do Boga i porzucić te przekłete uroczyska, to cóż począc: Raz kozie śmierć.

VI.

Historia o dwunastu panienkach.

Zdała od topielisk i Zbójeckiego Ostrowia, po przeciwnej stronie góry Żar, w głębi jednego z potężnych ówczesnych lasów, na zielonej obszerniej polanie, do której kręte i zarosłe prowadziły drożyny leśne, stał szeroko rozpostarty, zamożny dworzec pana Przekory, otoczony aż w las zachodzącymi chatami i zabudowaniami, a wewnątrz pełny wygod, bogactw i zbytku, o jakich nie jednemu z okolicznych pańskich zamków, nie śniło się nawet. Piękny sad i wirydarz, otaczały dworzec ze wszystkich stron, prócz wjazdu o zamczystej bramie. Aby wkrótkości określić zbytkowną zamożność Przekorowego dworca, dosyć jest powiedzieć, że miał on w głównych przynajmniej paradnych komnatach, nawet szyby szklane w oknach! Latem zatopiony niejako w morzu kwiatów, a dalej otoczony wieńcem sadu i olbrzymią lasu gęstwiną, był on rozkosznym nad rozkoszemi siedliskiem. Rozkosznym zwłaszcza we wschodnim tego wyrazu znaczeniu, w którym wonie narkotyczne, słodczyce łechcące podniebienie i miękki spoczynek przy słuchaniu szmeru wody i kołyszących wyobraźnię śpiewów, dźwięków, i czarodziejskich powieści, główną grają rolę. Ale i gdańskich cudów nie brakło także w tym dworcu. Wprawdzie Polska bywała podówczas w częstych i blizkich ze Wschodem stosunkach, i niektóre jego obyczaje, jak n. p. zamiłowanie namiętne w woniach i kwiatach, stało się jęj właściwym, ale w każdym razie, nagromadzenie wschodnich i gdańskich zbytków w leśnym ustroniu, było uderzającym.

KOTY UCZONE.

Wytrwałością i cierpliwością wiele zrobić można, nawet ze zwierzętami, które nie są zbyt pojętne, jak np. koty. Pies łatwiej daje się tresować, bo z natury jest wdzięcznym i posłusznym. Z kotem dzieje się zupełnie inaczej. Niezbyt mądry, a do tego próżniak, niechętnie poddaje się wychowawczym próbom, tem więcej więc zadziwiają sztuki, pokazywane obecnie w Paryżu, przez tak zwane koty uczone. Rycina nasza przedstawia te sztuki, z których łatwo sobie zdać sprawę przypatrując się z kolei umieszczonym na niej obrazkom. Pierwsza sztuczka polega na ustawieniu rzędem kilkunastu butelek, po których kot przebiega zręcznie, nie przewróciwszy żadnej. Tę samą zręczność widzimy na drugim i trzecim obrazku. Koty skaczą przez ustawione rzędem krzesła, a potem wspinają się po słupie do papierowego bębna,

który łąpką obracają bardzo szybko i zabawnie. Zręczność jest znanym kota przymiotem, teraz jednak zobaczymy że umie on dać i dowód odwagi. Przedstawiający bierze w rękę obręcz, owiniętą watą namoczoną w spirytusie. Spirytus zapalony tworzy ognisty pierścień, przez który biedne kotki skakać muszą. Najciekawszą wszakże częścią przedstawienia, jest obrazek ostatni.

Pomiędzy dwoma słupami wyciągnięto linę, a na niej posadzono myszy i ptaki. Mądre te stworzonka wiedzą dobrze, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, inaczej uciekłyby przed kotem, który nadchodzi właśnie. Nadchodzi, za nim drugi, trzeci, ale o cudo! nie myślą zjadać ulubionych przysmaczków. Idą ostrożnie, a stawiają łapki tak, żeby nie zadrapać maleńkich stworzonek, którzy im się, z drwiącą przypatrują miną. A nie tylko przypatrują, bo oto wróblek siadł na kota i jedzie na nim, a myszka siedzi mu na głowie i podróżują dalej zgodnie po linie.



WIEŻA EIFEL'A.

KOMRDIJKA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY.

PANI OSALSKA.
 KAROL, lat 15, jój syn.
 JÓZIA, lat 14, jój córka.
 WAŃDZIA, lat 13, siostra Józi i Karola.
 ANIELKA, lat 14, córka bogatych sąsiadów.
 JASIEK, chłopak kredensowy.

(Rzecz dzieje się na wsi w czasie wakacji).

Scena I-a.

JÓZIA, WAŃDZIA.

(Porządkują stół na którym książki i roboty leżą).

WAŃDZIA (składając robotę). Bogu dzięki wszystko skończone, możemy teraz pomyśleć o zabawie.

JÓZIA. A o zabawę nie trudno. Od przyjazdu Karola dni przechodzą jak godziny.

WAŃDZIA. Prawda! Karol jest niewyczerpany w pomysłach, śmiać mi się chce jak sobie przypomniał jego figle. Pamiętasz Icka w becce?

JÓZIA. Naturalnie że pamiętam, ale najzabawniejszy jest wtedy, gdy udaje Niemca katarynkarza.

Scena II-a.

JÓZIA, WAŃDZIA, JASIEK

JASIEK. Proszę panienci pszychoł chłopok na skapie i pszywóz (drapie się w głowę). Ino co zabacyłem zkąd pszychoł.

WAŃDZIA (prędko). Ale co przywiózł? może gruszki od babuni.

JASIEK. Nijkich ta grusek nie widziołem, ale jak panienka każą to pudę i duchem utrzesę.

WAŃDZIA (niccierpliwie). Czy słyszysz? Pytam ci się co przywiózł posłaniec?

JASIEK. A dyc ten papier dla panienki (podaje list).



Koty uczone.

WĄNDZIA (odbierając niecierpliwie). Dawajże prędkiej!
 JÓZIA. Nie łaj go, dopiero od tygodnia przy dworze,
 radzić sobie jeszcze nie umie.

JASIEK (kłaniając się Józii). Bóg zapłać panience za
 wyrozumiałe słowo. A wedle tych grusek?

JÓZIA (z uśmiechem). Widzę, masz na nie ochotę. Do-
 brze, idź utrząś, przydadzą się na podwieczorek (Jasiak wy-
 chodzi).

Scena III-a.

WANDA I JÓZIA.

(Wąndzia która przez czas rozmowy Józii z Jasiakiem czytała
 list, rzuca go z niechęcią na stół i mówi).

WĄNDZIA. A to prawdziwe zmartwienie, byłybyśmy
 się tak dobrze bawili, a teraz masz, wszystkie nadzieje na nic

JÓZIA. Cóż się stało? Od kogóż ta karteczka?

WĄNDZIA. A od kogożby jak nie od miłej Anielci; do-
 nosi że przyjedzie na podwieczorek. Rozkoszna nowina, że-
 by ją aż zapowiadać umyślnym listem. Pisze że posłaniec
 jedzie na pocztę, a ona po drodze nas uwiadamia. Posłaniec
 zapewne wraca już z miasta i za chwilę miła sąsiadeczka za-
 szczyci nas niezawodnie swą obecnością.

JÓZIA. Prawda że to fatalnie, ona taka nudna, a my
 obiecywałyśmy sobie nową zabawę z Karolem.

WĄNDZIA. Karol nie zna jej nawet, bo państwo Wier-
 scy dopiero od wiosny osiedli w ślicznym Opalinie. Dopra-
 wdę jak pomyślę o dawnych naszych sąsiadach, którzy z bie-
 dy musieli wynieść się do miasta, to tem niechętniejsza je-
 stem tej Anielce, która tylko o sobie i swoich bogactwach
 mówi, a tak śmieszna i ograniczona jest przytem.

scu mego urzędowania? Może zechcesz jeszcze zaskarżyć mnie przed moją zwierzchnością i kto wie czy nie okazałoby się wtedy, że wistocie niesprawiedliwie postąpiłem... Aby tego uniknąć uchylam mój wyrok poprzedni, masz oto siedem florenów, które ci się wedle sprawiedliwości należą, a drugie siedm składam tu oto do skarbonki dla ubóstwa, jako karę od ciebie za obelgę urzędowi wyrządzoną, dwaj ludzie moi „z urzędu” odprowadzą cudzoziemców tam, gdzie iść zamierzili, aby nie skarżyli się w Europie na zdzierstwo w Jawie a ty wracaj do Bandong, kiedy ci pilno: teraz masz wyrok sprawiedliwy.

Mimowoli musieliśmy się znowu śmiać z kwaśnej miny pana Dżai, mimo niezadowolenia ani pisał już teraz jednakże, tylko po chwili gdy podziękowawszy urzędnikowi wyszliśmy z domostwa, Dżaja przystąpił do nas z zimną krwią prowadząc dwa konie i zapraszał do siadania co prędzej, „bo już jest późno”, a na Tankuban-Prahu daleka droga. Oniemiałem na taką naiwną bezcelność, ale pan Antoni z niemniej od tamtego zimną krwią wytlómaczył mu że woli przewodników „z urzędu” ponieważ nic im nie zapłaci, zapłaciwszy już wszystkiego 14 florenów, które są zwykłą ceną w tym razie przez podróżnych płaconą, jakeśmy się o tem teraz dopiero dowiedzieli. Chciwiec zdawał się zdziwiony niezmiernie, my zaś ruszyliśmy w dalszą drogę, w towarzystwie dwóch Malajczyków, niosących nasze zapasy i ciepłe pledy. W chwili później Dżai dogonił nas, a raczej naszych przewodników i idąc wszyscy trzej, rozprawiali z niezmiernem ożywieniem, aż po długiej rozprawie zwrócili się do pana Antoniego, pytając grzecznie, czy nie wie on czasem, kto właściwie w tylko co przeprowadzonym procesie wygrał? a kto przegrał? i kto zapłacił karę?... bo sam Dżai uznawał że otrzymał co mu się należało, i pan Antoni zapłacił tylko tyle, ile przewodnicy zwykli pobierać, za przeprowadzenie na sam szczyt wulkanu, a przecież kara poszła do puszek dla ubogich...

Może ty, Wandeczko, potrafisz to pytanie rozwiązać, bo my zaczęliśmy się tak śmiać, zwłaszcza z wielkiej powagi z jaką je zadawano, że nie byliśmy w stanie odpowiedzieć. Salomonowy sąd holenderski, w żaden sposób nie mógł się pomieścić w malajskich mózgach, chociaż przyznawały mu słusność. Dżai odszedł nareszcie bardzo zamyślony, a my szliśmy dalej drożynką niezbyt stromą ciągle pomiędzy ogrodami i sadami, najprzód były obszary kawy, potem plantacje chinowych krzewów i drzew, okrytych białym i różowym kwiatem. Gdy skończyły się pola uprawne a zaczął się las, pan Antoni powiedział, że jesteśmy na wysokości 1,600 metrów. Las był tak zwarty, zcementowany niejako mnóstwem lianów, splatających gęstwinę, jakby miliony zielonych węży ją dusiło, że ani krokiem nie można było zejść z krętej nie bardzo ścieżyny stromiej wijącej się w jego głębiach; prócz olbrzymich paproci, nie mogłem nawet rozróżnić przepięknej roślinności, zjednoczonej owemi węzłowemi splotami. Po trzech godzinach takiej podróży, dosięgliśmy szczytu góry, 2072 metry nad poziomem morza. Odpocząwszy i posiliwszy się, zaczęliśmy schodzić na stok przeciwny. Nagle głuchy las skończył się, albo raczej zamienił w malinowy lasek, ponad którym patrząc, cudowny przedstawił się widok: cała główna dolina jawańska, w blaskach równikowego słońca świetniejąca dziwną grą barw, w której najczystszy lazur przeważał, zasiana ciemnymi dyamentami gajów, ukrywających miasta w swęj głębi, roztaczała się przed nami, a szczyty coraz niższych wzgórz, niby olbrzymie wschody, wiodły od wyniesienia na którym staliśmy, w dół aż ku niej. Piękne to, bo piękne, a jednak... Niech to zostanie między nami, Wańdziu, aby ktoś mniej mię od ciebie znający, nie pomyślał o mnie nie wiedzieć co, ale nie możesz mieć wyobrażenia, jakie przepyszne były otaczające nas maliny!... po prostu trudno było nie jeść, raz skosztowawszy, tembardziej, że dosyć było rękę po nie wyciągnąć, gdy po inne owoce wysoko nieraz sięgać trzeba, lub otwierając je z pewnym trudem, jak np. orzechy kokosowe. Gdy tak spiesznie, pełnemi garściami, załatwiam się z tym malinowym przysmakiem, niespodzianie wyskakuje z po za krzaku tuż koło mnie, dziwne jakieś zwierzątko i raz poraz

zapadając w gęstwinę krzaków, to znow wyskakując ponad nie, wspierając się jakby na niezmiernie długim ogonie tylko, poczęło uciekać w przeciwną od nas stronę... ledwo zdążyłem wymówić:

— Kanguru!.. — patrząc zagapiony za tem stworzeniem, które mi się dziwnie nie takim zdawało, jak je wyobrażać sobie przywykłem, gdy wtem cała gromada takich samych zwinnych wyskoczyła z okolicznych krzaków, uciekając tak samo za pierwszym.

— Kangury *halmatarus* czy coś dziwniejszego jeszcze? — pytam patrząc na pana Antoniego, ale i on zdumiony, wytrzeszczonemi błyszczącemi oczyma, wpatruje się w skaczące stworzenia, jednocześnie kreśląc na pamięć coś w notatniku, zapewne pobieżny opis tych zwierząt:

— To jest coś, czego nazwać nie umiem... czy podobna aby to było rzeczywiście coś nowego!.. — szepcze raczej do siebie, niż do mnie, a ja czuję już, że choć on sam własnym oczom nie dowierza, przecież serce bije mu szalenie tą radością właściwą uczonym, w chwili dokonywania nowego odkrycia...

— Patrzycie jakim sposobem dzieci tak skaczą?—spytają naraz jeden z przewodników widząc nasze zdumienie. — To tak na zwykłych kijach z bambusu... I ja tak umiałem, gdy byłem mały i lekki i chodziłem tu z innymi na maliny: oprzesz się oburącz na kij, podskoczysz wysoko w górę i spadniesz spory kawał dalej; wyborny sposób, zwłaszcza pomiędzy takimi krzakami w gęstwinie gdzie, wcale niema drożyny, i żał nawet tłoczyć się gwałtem pomiędzy owoc, bo całego człowieka sokiem obleje, a to przecież takie smaczne...

A więc to były dzieci, wyobraź sobie Wańdziu.. Pamiętaj jednak, że dzieci te były malajskie, a więc nagie zupełnie, w ciemno-brązowej, świecącej jak szkło skórze własnej tylko, a skakały z nieludzką prawie zwinnością, przerzucając się z miejsca na miejsce ponad krzakami; można się było doprawdy omylić w takich warunkach. Wstyd mi jednak trochę było, bo to ja pierwszy przecież zawołałem: „Kangur halmatarus”. Nie śmiałem spojrzeć na pana Antoniego i on więcej o tem nie wspominał i tak to przeszło. W tem wesliśmy znowu w las, ale jaki okropny, to strach powiedzieć: pomyśl tylko, las martwy... Ogromne drzewa suche, bez kory, która zeszkła i opadła zapewne, tylko gdzieśgdzie wyciągają ku niebu zbiegające jak kość gałązki, istny obraz rozpaczki bezdennnej. Nagle otwiera się przed nami niby polanka leśna, ale godna takiego lasu właśnie, czarniawo żółtawa poszarpana jakaś przestrzeń, a przez jęj środek wie-dzie skalista grzywa, czy grzebień, na który wstępują przewodnicy, idziemy z nimi i stajemy pośrodku: na lewo i na prawo, po obu stronach owego grzbietu skalistego, na którym stoimy, głęboko na 150 metrów u stóp naszych czernią się dwie straszliwe paszcze, starych dwóch kraterów. Stare, nie znaczy to wcale wygasłe. Coś podobnego do białawej kałuży prześwieca tam w głębiach. Z lewej strony blocko owe zdaje się martwe zupełnie, jakkolwiek lekkie smugi dymu wypływają zeń od czasu do czasu. Ale krater z prawej strony ryczy głuchym jękiem i wybucha potężnie głębami pary, z wnętrza wrzącego błota; ten krater podwójny na szczycie góry lasami i sadami obrosłej, to Tankuban-Prahu, a te kłęby pary siarką ziejącą, od których zakaszałem się natychmiast, zadusiły, zamordowały i ususzyły przepyszny las niegdyś, dziś straszne martwe cmentarzysko roślinne, które przebywaliśmy przed chwilą. Pan Antoni krztusząc się, zaczął co żywo rysować oglądać, badać, sprawdzać.

Tegoż dnia o siódmiej w wieczór, przy jasno srebrnym księżycowym świetle, stanęliśmy z powrotem w naszym hotelu, w Bandong. Nasi przewodnicy, chociaż Malajczycy także, ułatwili nam sumiennie całkowitą powrotną drogę, zadawalniając się skromnym podarkiem, jaki otrzymali za trudy pełnione „z urzędu”.

ROZMAITOŚCI.

Fabryki wyrobów jedwabnych w Lyon, wystąpiły na wystawie paryzkiej z pysznymi okazami drogocennych materij — wśród nich jednak odznacza się nieporównanym wdziękiem prawdziwy klejnocik, połyskujący najświetniejszymi barwami. Jest nim książka do nabożeństwa, utkana z jedwabiu, pochodząca z fabryki p. J. O. Henri. Na białej materji lśniążą zgłoski czarne, piękne, dokładne, wyrobione z całą starannością gotyckich średniowiecznych rękopisów.

Książka składa się z 50 stronic, a każda z nich ma zupełnie odmienną ramkę, okalającą tekst, gotyckimi literami pisany. Ramka ta jest przęśliczną mieszaniną kwiatów, owoców, arabesek, tarczy herbowych, dewiz, aniołów, świętych, ptaków, zwierząt symbolicznych, a wśród liści najrozlicniejszych kształtów, stokrotek, róż, lilij, bluszczy wijących się i płaczących swe zwoje z nieporównanym wdziękiem i wytwornością. Najzdolniejszy rytownik nie potrafiłby odtworzyć tych drobnutkich, delikatnych konturów, a jednak jest to materyja jedwabna, tkana w krosnach, a te rysunki wykonane są także przędzą jedwabną.

Cztery obrazki są włączone do tekstu na początku czterech głównych części: Narodzenie Chrystusa, Ukrzyżowanie, Najświętsza Panna Anielska, scena dysputy o Najświętszym Sakramencie podług Rafała.

Nakoniec na pierwszej stronicy znajduje się tarcza herbowa, na której mogą być umieszczone monogramy lub herby. Pierwszy egzemplarz tej książki ofiarowany został Ojcu św. Leonowi XIII.

Ptaki dochodzą niekiedy późniejszego wieku niż ludzie. Najdłużej z nich żyje łabędź, bo jak mówią podania, do lat trzystu. Pewien przyrodnik niemiecki opowiada, że widział jastrzębia który miał lat 162. Sępy i orły również żyją bardzo długo. W r. 1819-ym zdechł orzeł, który w r. 1715-tym, a więc 104 lat przedtem został schwytyany, a już wówczas miał lat kilka. Białogłowy sęp, którego schwytyano w r. 1706 zdechł w zwierzyńcu pałacu cesarskiego w Schönbrunn pod Wiedniem w r. 1824-tym. Papugi mogą od czasu, w którym zostały schwytywane i ułaskawione, żyć lat przeszło 100. Gęsi i kukułki mogą także żyć długo. Kruki również żyją przeszło lat 100. Sroki w niewoli trzymane, dochodzą tylko od lat 20 do 25, na wolności żyją znacznie dłużej. Kogut domowy żyje od lat 15 do 20, gołąb do 10, drobne ptaki śpiewające, od 8 do 18. Krótko stosunkowo żyje słowik w niewoli, bo tylko lat 10. Hodowane w Europie kanarki mogą żyć od lat 12 do 15, na wyspach Kanaryjskich zaś, znacznie dłużej.

W Bostonie założona została fabryka zabawek fonograficznych pod firmą: Fabryka stowarzyszenia Edisona. Fabryka ta wyrabia przeważnie lalki mówiące. Agent firmy objeżdża Europę i skupuje lalki, które następnie w rękach rzemieślników zmienione są na istoty mówiące, na lalki dwóch gatunków: dla dobrych i złych dziewczątek. Ostatnie otrzymują lalki, które odpowiednim głosem mówią: modlitwy, cytaty z biblii oraz wyjątki z kazań sławnych kaznodziei. Zaś lalki przeznaczone dla grzecznych dziewczątek, śpiewają wesołe piosenki, mówią ładne wierszyki i t. p. Podobno później mają także być wyrabiane lalki, wygłaszające całe traktaty

o prądach elektrycznych, prawach ludzkich, i t. p. Fabryka Edisona dostarcza dziennie 300 aparatów mówiących, lecz znakomity wynalazca nie wątpi, iż wkrótce powiększy tę dzienną produkcję do 3000 sztuk, a ma już zapewnionych odbiorców na 100,000 lalek mówiących.

ZAGADKA.

Cztery tylko mam litery;
Wprost i wspak jedyne cztery:

* * *

Gwary, tłumny, pełen wrzawy
Gdy czytany *wprost*..
Wspak, jam szczątek jest koszlawy,
Krzesło, chata, most...

* * *

Wprost, w zapusty, czy też w poście
Dobijan jak ptak...
Ale jakby dziura w moście
Niepotrzebnym *wspak*.

* * *

W domach, rynkach, na ulicy
Jestem tak i siak...
Odgadnijcież czytelnicy
Com jest *wprost*?... co *wspak*?...

SZARADA.

(od Gołąbki pocztowej dla Rumianego jabłuszka).

Z jednej zgłoski się składam,
Liter mam *trzy* lub *cztery*,
Wedle tego sam *jadam*
Lub, bez jednej litery
Z czterech tych odrzuconej,
Bywam wzajem jedzony!...
Jeśli cztery mam głoski,
Miewam wrogów i troski,
Sława o mnie się szerzy,
Są ze mnie bohaterzy.
Lecz *trzy* czy *cztery* społem,
Czym blisko lub daleko,
Pierwotnym mym żywiołem
W każdym razie jest... mleko!

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

Zagadki:

Z a r a z.

Łamigłównki zgłoskowej:

ZaraZ—Wacław—IzraelicI—EriE—RapiR—CesarZ—
IbisY—AdeN—DhawalagherI—ŁabędziE—OłomunieC.
Zwierciadło—Zwierzyniec.

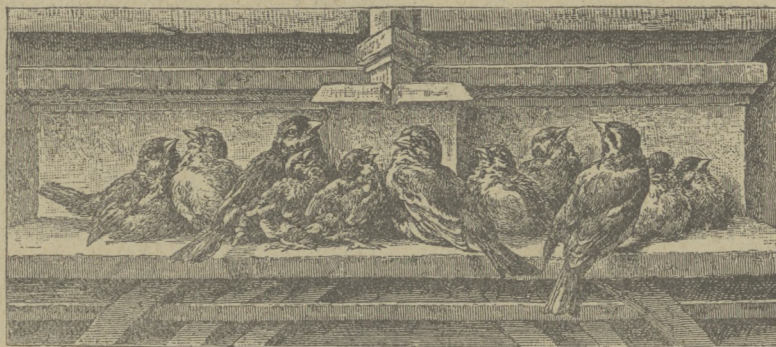
TREŚĆ: Przyjaciele rolnika, (z drzew.) p. Zofię Urbanowską—Podziemia barwałdzkiego zamku p. Boguchwał. —Koty uczone (z drzew.)
Wieża Eifel'a, komedyjka w jednym akcie. —Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) —Roznaitosci. —
Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Wróbelki, wiersz (z drzew.) —Naparstek Stasi (c. d.) —Pytanie bez odpowiedzi. —Zagadka,
wiersz. —Łamigłównki i rozwiązania. —Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michaline
Zielińskiej.

WRÓBELKI.

Już jaskółki i bociany
Gotują się do odlotu,
Każdy ptaszek zatroskany,
Pełno gwaru i kłopotu.
Coraz wietrzniej, coraz chłodniej,
Drży i wędnie listek wszelki,
Lecz choć co dnia ptaszkom głodniej,
Nie opuszczą nas wróbelki.
Wy szaraczki przytulone
Do zawianej śniegiem chaty,
Zimnem głodem nie spłoszone,
Wierne dzisiaj jak przed laty,
Niech wam każdy sypie ziarno,
Niech wam zima przejdzie mile,
Gdy umiecie dolę czarną
Współczuć z ludźmi w ciężką chwilę.

niejszego kształtu, opatrzone szkłem i drucianą siatką (tak zwane lampy bezpieczeństwa) sadzają nas do owego wiadra, dwóch górników, to jest robotników z kopalni, staje na obu przeciwnych brzegach wiadra dla utrzymania równowagi, puszczają winę w ruch, korba się obraca, łańcuch się odwija, wiadro się spuszcza, a my rrruu — jedziemy w głąb podziemia.

Wydaje nam się, że lecimy w przepaść: widzę, jak Stasia przeżegnała się ze strachu, a Kazio, choć taki mężczyzna, drżący tuli się do mamy. Owiewa nas prąd podziemnego powietrza, ogarniają zewsząd ciemności, otwór w górze coraz mniej przesyła światła, a w końcu migoce tylko, jak biały, maleńki punkcik. Wtem wiadro stuknęło, wstrząsnęło się i zatrzymało nieruchomie: jesteście na miejscu. Wysiadamy. Górnicy, którzy nam towarzyszyli w powietrznej podróży winą, oprowadzą nas po kopalni, już zapalają pochodnie. Przy ich migocącym blasku i przy świetle naszych lampek, rozglądamy się ciekawie dokoła.



Wróbelki.

NAPARSTEK STASI.

(Dalszy ciąg).

Wyobraźmy sobie nasamprzód szopę nakrytą dachem, w niej widać otwór w ziemi, niby wielką, szeroką studnię. Ten otwór to szyb, czyli wejście do kopalni. Pamiętacie na wsi u wujka tę dużą studnię w podwórzu, z kąd czerpano wodę do pojenia bydła wiadrem, umocowanym na łańcuchu? Łańcuch ten przyczepiony drugim końcem do okrągłego wałka, nawijał się na niego, skoro tylko parobek zaczynał kręcić korba i wyciągał do góry wiadro z wodą, albo spuszczał je na dół, gdy odkręcano korbę w przeciwną stronę. Pamiętacie?... Otóż taka sama winda z wiadrem na łańcuchu, z wałkiem i korba, tylko o wiele większa i obracana siłą koni, czeka na nas pod ową szopą, o której mówiłam. Tam ubierają nas w płócienne płaszcze, dla ochrony odzienia od kurzu i wilgoci, dają nam w ręce zapalone kaganki, szczegól-

Jesteśmy w wielkiej sklepionej sali, popodpieranej drewnianymi filarami, tory szyn kolejowych przebiegają w różnych kierunkach; tu stoi kilka małych wagonów, napełnionych kawałami rudego kamienia, tam stos takiego samego kamienia, ułożony wysoko, ówdzie porzucono kilka taczek, łopat i narzędzi górniczych, oskardów i kilofów, czyli młotów żelaznych, z ostrym długim końcem z drugiej strony. Wszystko to przedstawia ponury widok: ściany, sklepienie, podłoga i przedmioty są albo z rudego kamienia, albo grubo przysypane rudym pyłem koloru rdzy. W różnych stronach sali widać ciemne otwory, niby czarne okropne czeluście, z kąd dochodzi nas ciągle stukanie młotów i raz po raz migie słabe, drobne światło, jak robaczek świętojański na tle ciemnej nocy. To górnicy pracują nad odłamywaniem od ścian kawałów rudy żelaznej, i wykuwają coraz dalej długie i kręte korytarze.

Obcy człowiek bez przewodnika łatwo mógłby się zabląkać w tym labiryncie: górnicy są tu jak u siebie.

trafią wszędzie, nawet w tak niskich i wązkich przesmykach, że tylko na czworakach przepelznąć je muszą. Usuńmy się z drogi... oto kilka wagonów rudy jedzie w naszą stronę, ktoś popycha każdy z nich z tyłu, słychać wesołe gwizdanie. Co to?... Chłopcy mało co starsi od Kazia pchają te ciężary. Biedne dzieci, jakie twarde ich życie!... w tak młodym wieku pracować pod ziemią, być pozbawionym światła słonecznego, nie móc oddychać wolnym powietrzem, nie widzieć dnia Bożego! to smutno. A mimo to oni są weseli, śmieją się i gwizdzą. Muszą to być synowie górników, od dzieciństwa przywykli do takiego życia.

Zwracamy się w inną stronę i wchodzimy w długi a wązki korytarz; lampki górnicze migają wciąż przed nami, jedne wyżej, drugie niżej, inne zupełnie przy ziemi. To górnicy, aby mieć ręce wolne, poprzyczepiali je do kapeluszków swoich, albo do pasków, lub też postavili na ziemi. Stuk miarowy ich młotów i kilofów rozchodzi się głuchem echem po rozległych korytarzach. Przybliżamy się do jednej gromadki, witając ją w przyjęty między górnikami sposób: „Szczęść Boże”, mówimy do nich. „Panie Boże zapłać” odpowiadają nam, nie przerywając swego zajęcia. Przypatrujemy się ich robocie. Oстрыm końcem kilofa odznaczył sobie każdy z nich na ścianie niewielki kwadrat z rudy żelaznej i kuje teraz z całej siły, żeby ten kawałek od ściany oderwać. Puk, puk... w takt stukają narzędzia. Zatrzymał się nareszcie jeden z kujących, bierze długi, żelazny drąg w ręce, wkłada go w wykuty rowek, podważa swój kawał rudy... na bok dzieci!... usuńcie się, bo oto oderwana bryła stacza się prosto na was.

Idźmy dalej. „Nie wolno”, powiadają górnicy. „Dlaczego?” pytamy. „Bo przy końcu tej galeryi zakładają właśnie dynamit”, objaśniają nas pracujący. Ha! w takim razie cofajmy się prędko do sali wchodowej. Wracamy, górnicy z tej galeryi idą z nami... zaledwieśmy stanęli na miejscu, ziemia zadrżała pod naszymi stopami, słuch nasz przeraził głuchy grzmot podziemny, a gwałtowny prąd powietrza, który w tejże chwili wionął na nas z opuszczonej galeryi, zagasił lampki niektórych górników. „Co to było?” pytacie przerażeni. „Czy kopalnia się wali?” „Ech! gdzie zaś, miłe paniątka”, odpowiada stary górnik, to ino rozsadzają rudę prochem i dynamitem. I opowiada wam pocziwiec, jak to ułatwiają sobie pracę, za pomocą podkładania ładunków wybuchających:

„Ot, widzą paniątka, tak się robi. Wykujemy długą a szeroką dziurę w ścianie, założymy tam ładunek z przyczepionym lontem, czyli długim knotem. Knot ten zapalimy z drugiego końca i w nogi, mój drogi, uciekamy, co sił. Mamy czas, dopóki ogień nie dojdzie do prochu, a potem Bum!!! wystrzeli, jak z armaty i krach!!! rozsypie się ściana w tysiąc kawałków”.

(d. n.)

Pytanie bez odpowiedzi.

Zimową porą zebrała się dziatwa w około ukochanego dziadunia, który siedząc w wygodnym krześle

grzał się przy ogniu kominka i opowiadał wnukom o dawnych czasach, o nieznanym krajach i dziwnych zdarzeniach — a dzieci słuchały z wielką uwagą.

Tymczasem na dworze straszliwa szalała zawieja i wiatr północny wył przeraźliwie i smagał płacami śniegu o zamazłe szyby.

— Ach, jak to dobrze, że jesteśmy w domu, przy ciepłym kominku, że mamy dach nad głową, który nas chroni przed śniegiem — powiedział mały Jaś, tuląc się do dziadunia.

— A czy wiecie, dzieci, że śnieg i w pokoju padać może? — zapytał dziadzio znienacka.

— W pokoju? — równocześnie prawie zapytały się zdziwione dzieci. — Chyba w takim, który nie ma sufitu — wtrącił jeden z chłopców.

— Przeciwnie — odrzekł dziadunio — śnieg padał w pięknej, obszernej sali, która była oddzielona od zewnętrznej atmosfery i mocnym sufitem i szczelnymi oknami.

— No, to już coś nadzwyczajnego — zawołał 12 letni Karolek — proszę bardzo, niech nam dziadzio opowie, jak to było.

— Prosimy, prosimy — powtórzyły hurmem dzieci.

— Dziadunio niezmiernie lubił, gdy dzieci czem się żywo zajęły, bo twierdził, że z opowiadania starszych młodzi wiele nauczyć się mogą, a tylko bezmyślni albo zarozumiali słuchają nieuważnie, niechętnie, i w ten sposób zaczął opowiadanie:

Przed kilkunastu latami zebrało się w pewnym północnym mieście, w obszernej sali, bardzo liczne zgromadzenie, aby wspólnie obradować nad ważnymi sprawami kraju. Było to jak dzisiaj w ostry dzień zimowy, a wiecie przecież, jak nieraz mroźną bywa zima w północnym klimacie. Ale na sali wcale nie było zimno; przeciwnie, straszliwe panowało tam gorąco, bo powietrze rozgrzało się ciepłym oddechem zebranego tłumu, jak to się często zdarza w kościele, gdy się wiele ludzi zbierze na nabożeństwo. Wtem nagle otworzono okna, a zebrani ujrzeli niezwykle zjawisko: śnieg spadł z sufitu. No cóż dzieci — spytał dziadzio wnuków, skąd powstał ten śnieg?

Jeden z chłopczyków wytłomaczył jasno i zrozumiale, ale my odpowiedzi jego nie podamy, tylko niech nasi czytelnicy nad tem pomyślą. Najlepsze objaśnienie wydrukujemy.

ZAGADKA.

Prawie równi wzrostem oba,
Choć ten mały tamten duży,
Dobroć wspólna ich ozdoba,
A wyższemu niższy służy.

Że są grzeczni znać po minie,
Nózek mają razem sześć,
A buczków dwa jedynie
I łatwo im brak ten znieść.

Mają włosy i kudełki,
I kołnierzyk i obróże,
Noszą książki i węzłki
W rączkach, w zębach zwłaszcza duże.

Jeden z drugim zgodnie żyje,
Przyjaźń to bez skazy, szczerza,
Chodząc biorą się za szyję,
A wyższego niższy wspiera.

Ich stosunki ztąd powstały,
Że gdy małym był ten duży,
Wyratował go ten mały
Topiącego się w kałuży.

W lat trzy, w rzece nie w kałuży,
Tonął wyższy, wciąż malutki,
Wyniósł go z niej niższy duży:
Ot... przyczyny i ich skutki!

Odgadnijcież gdy podobna,
I jeżeli się spodoba:
Jak się zwą ci dwaj z osobna?
I jak zwą się razem oba?

ZADANIE KONIKOWE.

(od Niebieskiej Wstążeczki dla Trawki z nad Fryby).

Kto	rze	mo
le	*	chce
szcze	ze	wie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

Szarady:

Cha — łup — ka.

Łamigłówki w kwadraciku:

D O N
O P A
N A D

Skrzynka do listów.

J. Mor. przysłał nam rzecz ogólnie znaną i tak starą, że w dziecięcych jeszcze latach czytali ją ludzie, mający już dzisiaj siwe włosy.

W chwili, w której to piszemy, **Gwiazda** mieć już musi w ręku numer **Wieczorów** z zadaniem konkursowym; odpowiedź na nie wymagać będzie niewiele pracy, dużo tylko zastanowienia się nad swoim i rodziców położeniem. Mamy przeto nadzieję, że potrafi je obrobić... *zbyt* ciekawa, ale zawsze nam miła korespondentka,

Dobre zrobiłaś, **Gwiazdko nadziei**, że zajaśniałaś nam wreszcie promyczkiem, który przybrał formę tak miłutkiego i porządnego napisanego liściku. Ujęłaś nas za serce oświadczeniem, że braci i sióstr nie mając, do naszej rodziny chcesz należeć. **Gołąbka**, która niezłą jest ptaszyną, wszystkie te siostrzyczki skrzydełkami ogarnia serdecznie i tobie też za uściski dziękuje.

Nie możemy sobie przypomnieć, kochany **Pegazie skrzydlaty**, co się stało z liścikami zapewne dość już dawno pisanymi. Co do wierszyka, ten musi czekać przejrzenia i... kolei.

Macierzance, wonnemu a skromnemu kwiciu pól naszych szczerze winszujemy, że tak chętnie stosować się umie do udzielonych jej uwag. Z serca pochodzą, i dziękujemy ci, żeś pojęła to, kwiatuśzku niepozorny, a tak przecie miły.

Listy **Gwiazdeczki** otrzymane wraz z krótkim, króciutkim do nas liścikiem. Tak nam skąpisz promyków, **Gwiazdeczko!** dla czego? Korespondencya z dziewczkami naszemi, wymiana myśli z nimi, jest wielką, wielką dla nas przyjemnością.

Gałązka Bluszczu musiała nam dać mylny adres do przesyłki, bo nagroda jeszcze z konkursu przedwakacyjnego, została nam obecnie, to jest po trzech miesiącach zwróconą z poczty.

Myśl twoja pocziwa, **Poranku majowy**, w inną formie podjętą już została i przedstawioną będzie czytelnikom naszym. Niemniej przeto w imieniu ubogich dziękujemy ci za nią całym sercem... chlubnie ona świadczy o twem serduszku, które dla ulżenia nędzy poświęcić gotowe to, co tak jest drogim dla dzieci: czas na zabawę przeznaczony

Jakże miły nam jest liścik **Gloksynio**, która „nieleka się” wcale, aby liścik jej został nie przyjęty. Tak, dzieci drogie, zachęcanie jesteście do pisania, o ile wam na to rodzice wasi i nauki pozwolą, bo niema dla nas miłszego nad te serdeczne słowa, nad szczerze i ufne wynurzenia czystych i prawych duszyczek waszych.

Ta **Iskierka** naprzykład, która wszystkim „co dla nas pracują w Wieczorach, posyła ukłony” jakże jej tu nie kochać, jak nie zachęcać do pisania takiej dziewczeczki, co w dwóch liniach jeszcze pisze, a już wdzięcznie pamięta o *wszystkich*? Jak się jej liścikami nie cieszyć? Mamy też nadzieję, że ośmioletnia dziś czytelniczka przyłączy się z czasem do grona naszych staruszek i zawsze pamiętać o nas będzie.

Barwinek, który się wreszcie napisać „odważył”, tem przynajmniej okupuje swój brak odwagi, iż nie wątpi o naszej „pobłażliwości”. Dobrze robisz, modry kwiatku, tembardziej, że staranna kaligrafia i dobrze napisany liścik nie wystawiają pobłażliwości naszej na próbę.

Kochane: **Stokrotko** z nad **Stochodu**, **Różyeczko** z **Wołynia** i **Myszko** z **Płocka**. Przepraszam was, że tak długo nie odpisywałam. Spieszę donieść teraz tobie, **Stokrotko**, że w czasie wakacji bawiłam się dobrze, tobie zaś **Różyeczko**, że obecnie ciągle się uczę. **Myszka** niech się na mnie nie gniewa, bo jej odpisałam, lecz list nie doszedł widać redakcyi **Wiecz.** Proszę was o doniesienie mi coś więcej o sobie, a tymczasem całuję was serdecznie *Radwiąnka*.

Droga Świtezianko! Ponieważ mamy jednakowe pseudonymy, skąd mogą zachodzić pomyłki, zmieniam mój: **Świtezianka** na „**Świtez**”. Mam lat 10, jestem najmłodszą z rodzeństwa. Mam 3 braci i 3 siostry. Mieszkam w Warszawie i w tym roku zdałam egzamin do gimnazjum. Nazywam się **Genia**. Przepraszam cię, że tak późno odpowiadam i nie oddaj mi wet za wet. Twoja *Świtez*.

Miły **Poranku Majowy**. Dawno już miałam zamiar ci odpowiedzieć, ale jestem obecnie bardzo zajęta. Dziękuję ci za pamięć o **Córce Mazurów**, oczy ją już nie boją, ale używa jeszcze okularów. Czyś posłała na konkurs jaką robótkę?

Skoro homonim twój wzięłam do ręki, Wnet mi z dziejów bajecznych ustępną na myśl wpada:

Komu zły krewny straszne zadał męki,

I z kąd się myszy wylęgła gromada.

Pomyśl **Poranku** nad tem krótką chwilę,

Potem odpowiedz czyli się nie mylę?

Ucałuj rączki mamusi i rodzeństwa, sama zaś przyjmij serdeczne uściśnienie od *Rosiczki z nad Rowu*.

Chciałaś kochana **Gałązko Paproci**, abym ci siebie opisała. Jestem sobie blondynką z czarnymi oczami, zdrową i żywą dziewczyną, nieleniwą z natury, a obecnie nawet nabrałam wielkiej chęci do muzyki, chociaż przedtem zwątpiono o mych zdolnościach w tym kierunku. Konnej jazdy też próbuję. Lubię buleczkę z masłem, więc żałuję, droga **Jutrzenko** że zmieniłaś tamten pseudonym. Choć to prawda, że nazwa **Jutrzenki** jest o wiele poetyczniejszą. Całuję was obie serdecznie *Czarnooka z puszczy*.

Kochana moja **Królowo Elfów**: ucieszyłam się bardzo miłutką twoją odezwą, a to fem więcej, że pierwszy twój liścik do mnie

adresowałaś, chcę ci zatem jaknajpóźniej z podziękowaniem odpisać. Jestem starszą i to bardzo poważną w dodatku, mieszkam zimą w Warszawie, a na imię mi Zosia. Śpiew, muzykę i rysunek lubię niezmiernie. Ściskam cię, kochana Królowo Elfów, a Niezapominajce z nad Warty, Staszce z Podola i Stokrotee z nad Stochodu, przesyłam serdeczne pozdrowienia. *Czeska Niezapobudka.*

Kochana Księżniczko z nad Wisły! Chciałabym poznać się z tobą i wiedzieć ile masz lat? Jak się nazywasz i gdzie rzeczywiście mieszkasz? Co do mnie, skończę w Grudniu lat dziewięć. Uczę się w domu, lubię rysować, czytać i grać na fortepianie, ale największą przyjemnością jest dla mnie, w dzień pogodny biegać po lesie i dla tego też zowią mnie wiewióreczką. A ty, co lubisz? Więcej dowiesz się o mnie z Wieczorów Rodziny N. 27. Ściska cię serdecznie, *Wiewióreczka Infantska.*

Kochana Cicha Wodo! II-a I my się znamy, widziałas mnie u Gwiazdeczki. Imię moje Mania O. Domyśl się kto jestem? Kochająca cię, *Niezapominajka z nad Mroźcy.*

Kochana Ostróżka Biała! Zaraz po odebraniu twego liściku, spieszę nań odpowiedzieć, aby ci dać dowód, jak wielką zrobił mi przyjemność. Mnie również podobały się „Branki w Jasyrze” teraz zaś z zaciekawieniem czytam „Piętnastoletniego Wojewodę” bardzo lubię podobne powieści. Czy lubisz muzykę? ja bo nadzwyczaj. Odpisz prędko i przyjmij serdeczne uściśnienia od twojej *Szczeroci.*

Drogi moje: Królowo Wrózek i Topolko Srebrna! Królowo Wrózek! wiesz doskonale kim jestem, poskutkowała twoja namowa, abym pisała do Wieczorów. Topolko srebrna bardzo mi się podobał twój pseudonym i chciałabym cię poznać, ja mieszkam na wsi, jestem jedynaczką, na imię mi Maryńcia, mam lat 11. Odpisz mi niedługo, i donieś co o sobie. Tysiąc uściśnień wam przesyła, *Gwiazdka Nadziei.*

Droga Gwiazdka z Podola! Moja siostrzyczka zapomniała, jaki jest twój nowy pseudonym, proszę cię więc, donieś mi, jaki sobie obrałaś. Ja już zmieniłam swój, z Rusalki na Gwiazdę. Ściskam cię, szczerze życzliwa *Gwiazda.*

Droga Wiosno! Przepraszam cię że dopiero teraz odpisuję, ale nie miałam dotąd czasu. Dla czego nie byłaś u Wańdzy C.? Odpisz mi prędko. *Mucholówka.*

Kochana Cicha Wodo! Zgadłam kto jesteś, na imię ci Lunia E., mieszkasz w Dębowej Górze? czy tak? Odpisz, ja do ciebie chętnie pisywać będę. *Gwiazdeczka.*

Kochane Polanko, Dębinko, Łątko, Bzu gałązko i Kuropatwo z nad Ikopetiu! Bardzo mi się podobała wasza myśl, gdyż i mnie dotknął boleśnie zgon „Kochanej pani”. Kuropatwo, widziałam cię w R. u pani M. Wiesz kto ja jestem? Całuję was, miłe przyjaciółeczki. *Biała Chanurka.*

Drogi moje Cicha wodo i Biała Olcho! Przeczytawszy w Wieczorach jeden z twych liścików, droga Wodo, w którym skarżyłaś się, że nie masz szczęścia do korespondentek, postanowiłam pisać do ciebie. Przysłowia mówi, że cicha woda brzegi rwie, a mnie się zdaje, że nasza „Woda” rwie ku sobie serduszką. Moje przynajmniej już zostało porwane. Biała Olcho, chciałabym także pisywać do ciebie. Jak ci na imię, ile masz lat i czy będziesz należyć do nowo ogłoszonego konkursu? Całuję was obie, *Biała Ostróżka.*

Drogi moje: Czarnooka z puszczy, Góralko, Brońciu H. i Perelko warszawska! Ponieważ redakcyja nie może drukować na raz kilku liścików, piszę więc do was wszystkich razem. Przepraszam cię droga Czarnooka, że ci tak długo nie odpisywałam. Teraz jednak będę się starała wynagrodzić moje milczenie. Gdy będę mogła, opiszę ci Warszawę. Miło mi będzie korespondować z tobą Góraleczko, tembardziej, że jesteś moją rówieśniczką i imienniczką. Widzisz więc, Brońciu H., że dotrzymałam obietnicy i proszę cię, wybierz sobie pseudonym i napisz do mnie. Zgadnij kim jestem Pereleczo? Proszę was odpiszcie mi. Ściskam was, *Biedronka warszawska.*

Chciałabym bardzo wiedzieć, droga Artystko, czy nią naprawdę jesteś i w jakim kierunku? Czy lubisz kwiaty i jak ci się podoba „Szesnastoletni Wojewoda”? Proszę donieś mi gdzie mie-

szkasz, i ile masz lat, jak ci na imię? Ja bardzo lubię kwiaty, na imię mi Antonina, mam 12½ lat, niebieskie oczy i płowe włosy, mieszkam w Warszawie, uczę się w domu, serdecznie ci życzliwa, *Kapłanka Znicza.*

Droga moja Szczeroci! Łatwo zrozumiesz radość moję z otrzymania nagrody boś i ty byłaś jedną ze szczęśliwych. Donieś mi coś dostała? Prawda jak to przyjemnie słyszeć podziękowania i błogosławieństwa ze strony ubogich? Co do mnie postanowiłam zawsze należeć do konkursu robót, nietylko dla nagrody, ale także aby mózdz odziać choć jedno biedactwo. Całuję cię po milion razy kochająca cię choć nieznana przyjaciółka, *Biała Ostróżka.*

Kochane moje: Yum-yum i Amazonko Podlaska! Szkoda, że jestem zmuszoną do was obu naraz pisać, tembardziej, że mam każdą z was dużo do powiedzenia. Ty Yum-yum, powiedz dla czego mi nie odpisujesz na mój list, pisany z Wiednia, adresowany do Kaltenleutgeben, zapewne musiałaś go odebrać, a jeżeli nie, to upomnij się o niego. Ty zaś Amazonko Podlaska nie gniewaj się, że ci wcześniej przez Wiecz. Rodz. nie odpisałam wiesz jednak, że długo byłam zagranicą i tylko po powrocie mogłam przejrzeć wszystkie zaległe numery. Czy odebrałaś mój list ostatni? Odpisz prędko. Ściska was obie, *Lilwinka z nad Niemenka.*

Kochane Marzenie! Domyślałam się że jesteś Antolka K., masz lat 12, mieszkasz w Warszawie na Senatorskiej ulicy. Donieś mi proszę czy zgadłam? Ja teraz zmieniam pseudonym z Polki na Głoksynię. Ściskam cię serdecznie. *Głoksynja.*

Radbym z tobą korespondować, kochany Podbipięto. Mam lat dwanaście, mieszkam koło Nowego Targu, uczę się jeszcze w domu, ale mam iść na rok przyszły do szkół. Lubię bardzo czytać Wieczory. Podoba mi się w nich powieść „Szesnastoletni wojewoda”. Tego lata jeździłem z rodzicami do kąpiel w Helgołandzie i podobało mi się morze, które widziałem po raz pierwszy. Odpisz mi niezadługo, życzliwy ci bardzo, *Orzeł tat. zański.*

Kochane: Gałązko Heliotropu i Poranku majowy! Gałązko Heliotropu zgadnij kto jestem, znasz mię doskonale, donoszę ci tylko, że zmieniłam pseudonym. A ty Poraneczku podobałeś mi się bardzo - z twego pseudonymu, czy zechcesz korespondować ze mną przez nasze kochane Pisemko? Ściskam was serdecznie i proszę o odpowiedź. *Kwiat Lotosu.*

Kochana Jaskółko z nad Ussy! Serdecznie ci za list dziękuję i śpieszę z odpowiedzią. Zdrowie mamy jest prawie zawsze takie same, ale w ogólności jest lepiej, niż było na wiosnę. Ciekawam pod jakim pseudonymem Antka pisywać będzie, tymczasem zaś przesyłam czule uściśnienie dla tego kochanego leniuszka. Mamie twojej, miła Jaskółeczko, składam moje uszanowanie, a tobie serdecznie uścisk przesyłam. Twoja *Czeska Niezapobudka.*

Gwiazdę polarną czule pozdrawiam; czy dawniej nie nosiła ukraińskiego pseudonymu?

Porankowi majowemu dziękuję Iskierka za pożyczenie wiadomego Opowiadania, które podobało się nam bardzo. Żałujemy, że nie znamy pierwszej części, musi być także zajmująca. *Iskierka.*

Kochana Rusalko z Dzimitry! Donoszę ci złotko moje, że mam lat 13 cie, mieszkam w gub. Podols., którą bardzo kocham, i jestem twoją imienniczką. Napisz mi, czy u was na Litwie ładnie? bo mnie się zdaje, że bardzo, wszak tak Mickiewicz utrzymywał; nie wiem dlaczego ja tak lubię tę ojczyznę jego, chociaż tam nigdy nie byłam. Choć bardzo daleko od siebie mieszkamy, będziemy się jednak kochać, nieprawdaż? Twój *Poranek majowy.*

Siostrzyczki drogie moje! Prawda jak to miło nieść pomoc ubogiemu? Niejedna z was z pewnością pomyślała tak samo po przeczytaniu listu Gołąbki. Więc nie wątpiąc o dobrym skutku, udaję się do was kochane z propozycją, abyście w jakikolwiek sposób, czy igielką czy pieniądźmi, przy nowym roku dopomogły sierotkom i innym dzieciom ubogi. Odpiszcie mi czy się zgadzacie na to. Wasz *Poranek majowy.*

Moi drodzy Lelum Polelum! Zdziwił mię bardzo wasz pseudonym, ponieważ i mnie tak nazywają, gdy jestem marudny. Napisz mi, gdzie mieszkacie, gdyż ja mieszkam na wsi. Kończę lat 9, uczę się i wkrótce pojedę do szkół. Odpiszcie prędko waszemu *Longinusowi.*